



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

WYKSZTAŁCENIE KOBIETY.

Pod tym tytułem: „Education des femmes“, wyszła w Paryżu w wydaniu drugim broszura, będąca odbitką przeglądu *Revue Scientifique* a mieszcząca studjum psychologii kobiety, oraz wyników jej nowoczesnego wychowania, kształcenia naukowego. Autor, Gustaw Le Bon, powstaje silnie przeciwko idei, podnoszonej obecnie, a rozbieżnej bardzo często z fałszywego punktu widzenia — idei bezwarunkowego równouprawnienia kobiety z mężczyzną w zakresie nauki i pracy. Są tu różnice, których nikt i nic nie zmieni, których zapoznanie grozi bardzo poważnymi następstwami społeczeństwu, urządzającemu stosunki swoje na podstawie błędu, zwanego mylnie postępem. Postęp jest jedynie wtedy, jeżeli zmiany, jakie przynosi, posuną ludzkość w stronę szczęścia i tych ulepszeń w układzie życia, które je sprowadzają; trzeba też zastanowić się: ile tutaj jest tego pierwiastku, darzącego nas wyższem uszczęśliwieniem, umoralnieniem wyższem? Kobieta jest stworzona inaczej, niżeli mężczyzna: podział pracy, odpowiadający podziałowi przeznaczeń, a ujawniający się w całej naturze, ma i tu miejsce swoje, psychologia kobiety wykazuje też różnice, których nie należy uważać za niższość, ale za odmienną, i nie można przeczyć ich pod karą popełnienia błędu, obfitującego w następstwa bardzo poważne.

Badania psychologii porównawczej wykazały, że kobieta brana ogółem, wyższą jest od mężczyzny przez przymioty uczucia, że „jej poświęcenie w tym zakresie nigdy nie strudzone, jej

tkliwość i dobroć, wdzięk, urok podbijający — jej zrozumienie istoty dziecka, jej cudowny instykt serca, pozwalający odgadnąć rzeczy, których istnienie umysł męczyzny dostrzega zaledwie po długich badaniach, to stanowi jej wartość prawdziwą“. Zato pod względem intelektualnym autor uważa kobietę za niższą od mężczyzny, „odpowiadającą jego typowi z czasów cywilizacji pierwotnej“ i wykazuje jak „obok słabo rozwiniętej zdolności rozumowania, posiada ona cudowną pamięć, pozwalającą jej przyswoić sobie z łatwością połysek zewnętrznej cywilizacji i odnosić na examinach publicznych najświetniejsze tryumfy, które mogą wprowadzić w błąd, tak ją samą, jak tych, którzy rzecz badają“...

Wskutek tej różnicy uzdolnień Le Bon podnosi głos przeciwko obecnemu kierunkowi kształcenia kobiety, przeciążającemu umysł, a któremu drugostronnie brak jest tego właśnie, przez co wrodzone przymioty tych umysłów zajaśnieć by mogły. Przy panującym obecnie systemie nauki dziewcząt rozwija się przeważnie pamięć, bo na pamięć uczą się one głównie tego wszystkiego, co rzeczywiście nie przyda im się w życiu na nic i czego też nie biorą nigdy szczerze do umysłu, a co jedynie wykołaja je i podkopuje przez nieużyteczny trud nauki organizm, sprządza anemią i nadmierną nerwowość. Kobieta dzisiejszego systemu kształcenia nie umie też przyłożyć należyte ręki do pracy w rodzinie, a tej innej, której pożąda, nie znajduje, chyba na jej szczeblach niższych, i wyjątki jedynie mogą tu zajmować miejsce podniosłego znaczenia, w następstwie czego położenie staje się bardzo smutnem, bo kobieta wtedy nawet, kiedy zwycięży mniej zyskuje, niżeli traci, ponieważ mężczyzna, pozbawiony pracy przez jej konkurencję, nie tworzy rodziny i zburzonym zostaje naturalny rzeczy porządek, na czem cierpi tak on, samotny, jak ona idąca o własnej sile przez życie i uszczęśliwiającej człowieka ognisko rodzinne nie rozlewa

już dla obojga swego ożywczego ciepła, przy którym grzeją się serca ludzkie.

— Oto złe... oto choroba wieku... woła autor i pyta: gdzie szukać na nią lekarstwa? Czy kobieta ma być odsunięta od światła nauki, czy dla niej tylko nie ma istnieć postęp?... Nie — odpowiada — należy przecież aby oświecenie umysłu potrzebne promieniami oświaty, było przeprowadzane w kierunku dobrze przypadającym do jej zdolności i pracy, wskutek tych zdolności wyznaczanej na jej dział wśród społeczeństwa, rodu. Zadaniem nauki jest przygotowywać do życia, i kobieta tak też uczyć się powinna, aby umiała żyć szczęśliwie i użytecznie, przykładając się w postępie ludzkości do rozwoju, tak dobra rodzin, jak i cnoty publicznej.

Zastanawiając się: jakie gałęzie pracy powinny jej się dostać w zakresie dobrze zrozumianego pracy tej podziału? — autor zwraca się do wskazówek natury, które uważa za nieomyślne, i wykazuje, że do kobiety należy tak naturalnie nauczanie dziecka, jak naturalnie należy do niej wskutek macierzyństwa dziecka wychowanie. Każda niemal kobieta jest do tego „cudownie uzdolnioną“ i Le Bon żąda też, aby całe nauczanie, nietylko elementarne, ale i pierwszego poziomu stopnia, należało do niej wyłącznie, a to nietylko w rodzinie, ale i w szkole publicznej: w niższych klassach gimnazyów i liceów męzkich. Jest tak w Ameryce, na zasadzie słusznego podziału pracy, więc w imię sprawiedliwości a zarazem w imię interesów dziecka powinno tak być w Europie; gdyby też system amerykański został tu zaprowadzonym, stworzyłoby to odrazu zajęcie odpowiedzialne dla licznego zastępu kobiet, pragnących, nie bez słusności, oprzeć się w pracy życia na pozyskanej nauce i wyrobionej w skutek tego umysłowości.

Le Bon żąda dalej, aby, usuwając prywatną naukę rzemiosł: terminowanie, zakładane był

przez państwo rzemiosł tej szkoły, a wtedy i rzemiosła kobiece, oraz te pośrednie, należące do płci obu, naprzykład szkoły sztuki stosowanej do przemysłu, nietylko podniosłyby się w znaczeniu społecznym, ale uzdolnianie się w nich do pracy nie miałyby tych stron przykrych, tych warunków uciążliwych dla których wiele dziewcząt, należących do klas oświeconych, więc i wychowywanych starannie, cofa się lekliwie przed takim nowicyatem pracy i następnie, szukając chleba, cisnie się przebojem dla chleba tego do zawodów pracy męskiej, wytwarzając tu mężczyźnie smutne współzawodnictwo, bo dotykając ją samą w skutkach swoich, gdyż mężczyzna pozbawiony pracy nie żeni się i zniża się w społeczeństwie czywczynie ciepło ognisk rodzinnych a szczęście ucieka, spłoszone przez smutną walkę o byt.

Autor żąda też ostatecznie, aby kształcenie się kobiety w szkole miało charakter więcej wyłączeni, było więcej stosowane do zadań życia kobiecego — żąda więc aby to były szkoły przeważnie zawodowe, a jakkolwiek szkoła powinna mieć na uwadze przyszłe zadanie życia uczącej się młodzieży, czy przecież nie będzie tutaj niesprawiedliwości, gdy społeczeństwo zechce ograniczyć oświatę umysłu kobiety przeważnie na tej zasadzie, aby owa kobieta nie stawała następnie do konkurencji pracy zarobkowej z mężczyzną? Jakkolwiek praktyczna strona życia nie powinna być pomijana w wychowaniu, bo życie realne wyrobienia tej praktyczności potrzebuje, co innego przecież stać tu powinno na straży jako zasada rozstrzygająca: co się nam godzi, lub nie godzi czynić?...

Bardzo pożyteczną wskazówką, mieszczącą się w planie kształcenia kobiety, jest podniesienie do znaczenia edukacyjnego, tak nauki robót ręcznych, jak wyrobienia do nich smaku, bo niejednej Penelopie dobrze z tem było, że umiała sobie znaleźć ciche, spokojne zajęcie n ogniska domowego. Niemalą wagę nietylko w budżecie realnych pożytków ma taka pracowitość kobiety, o której można powiedzieć: „wełnę przędła, domu strzegła“, przywiązuje ją bowiem ta pracowitość skromna do domu owego, daje zamilowanie życia wśród jego ścian czterech — obowiązków, co jest rzeczą najważniejszą dla każdej uczciwej jednostki ludzkiej. Le Bon nakazuje też aby kobieta spotkała się w wykształceniu swoim intelektualnym z kwestją jej odpowiedzialności moralnej wobec zadań rodzinnego życia — z kwestją wysokiej użyteczności społecznej jej prac w rodzinie. „Udostojni to w jej oczach najprostsze obowiązki“... kończy rozumnie i nie myli się bynajmniej w zdaniu swoim. Kto umie związać sobie drobne życia powinności z celem życia tego wysokim, nie zmaleje nigdy duchem spełniając je, bo idea szlachetna przyświecać mu będzie z wysoka, podnosząc go w godności człowieka, uczciwie spełniającego pracę, która jest obowiązkiem.

M. I.

„PRZEKLETY RÓD”

przez

Kazimierza Glińskiego.

(Dalszy ciąg).

Bolesław zcerwieniwał.

— Słuchaj Ignacy — odezwał się. Sądzę, że możemy być dobrymi przyjaciółmi, choć...

— Jesteś ty Ruszczycem, a ja Targanicem, ool—dokończył Ignacy.

— Uprzedzasz wyrazy... Choć, miałem to właśnie powiedzieć, rozdzielają nas pewne przekonania.

— Nie chciałem, lecz teraz pytam, cożeś ty zrobił?

— Ja sprzedaję pomarańcze i nie strwoiłem fortuny, której mi ojcowie nie zostawili, lecz własną pracą doszedłem do fortuny.

— To dla siebie: dalej!

— Dałem przykład, jak się dzwigać, i na mnie patrząc, mogą ci co nie umieją, nauczyć się pracować. Z Krzyżtoforami nie mam nic do czynienia, i dobrze, bo nie mam nic... do zapomnienia! — dodał z przyciskiem.

Chodziła dawno smutna legenda o rodzie Krzyżtoforowym. Niegdyś, matka licznej Krzyżtoforów rodziny, leżała na łóżu boleści, złożona ciężką chorobą, a synowie ją odbiegli. Przyszła chwila skonań, wołała dzieci, lecz ich ogarnął karnawałowy szal. Umarła z klątwą na ustach. I oto czwarte pokolenie do grobu się kładło z brzemieniem przekleństwa. Żaden z pierworodnych własną nie umarł śmiercią, najczęściej zabijały ich pioruny. Ignacy wiedział o tej tradycji rodu, i dziś nią, jak ostrzem, uderzył w piersi pra-syna.

— Rozumiem co mówisz — rzekł głucho Bolesław. — Patrz! drż mi usta, na czole pot zimny czuje... Wspominasz o winie wielkiej.

— Wy do krasomówstwa dar macie — przerwał Ignacy. Tyle tylko i po was zostało!

— O, mój wieszcu, stój...

— Klania ci się szlachcic karmazyn, który omdlewał na ruinach Kolizeum i kiwał mieczem Orlanda.

Anusia podniosła się nagle.

— A! ubawiliśmy panią? — zwracając się do niej, odezwał się Bolesław.

— Nie bardzo.

Zaśmiała się.

— Chodźmy do ogrodu lepiej, może tam panowie grzeczniejsi będą i ze mną rozmawiać zechcą. Dzień tak piękny: szkoda go w pokoju przesiedzieć...

Na głowę włożyła ubrany kwiatami o rondzie szerokim, kapelusz pasterski, i dała hasło do przechadzki.

Wyszli wszyscy troje, pani Weronika miała w gospodarstwie. Anusia szła po środku towarzyszących jej panów.

Rozmowę prowadzili żywą, prawdą, że tylko Bolesław i panna Anna oddani jej byli, bo Ignacy zpoehmurniał czegoś, milczał i, przechodząc koło kraków leszczyny, rwał liście, gniótł w dłoni i ciskał na ziemię; spotkane na drodze kretowisko kopnął nogą, a jeżeli odezwał się, to czuć było, że gryźć chciał i kasać. Anna i Ruszczyce nie zwadzali jednak na te wybryki złego humoru, gwarzyli swobodnie, śmiejąc się i żartując. Przeszli ogródek, na łąkę weszli, jasna szyba stawu zabłysła przed nimi. Bolesław spojrzął na pannę Annę, która skraśniała. Ignacy porwał dużą bryłę ziemi, cisnął na wodę i przezroczystą powierzchnię zmacił.

— Co panu jest? — spytała Anusia.

— Objaw dobrego humoru — mruknął Ignacy.

Zaśmiano się.

Bolesław nachylił się i szepnął.

— Zakochany w pani, a... pani?

— Niel — odpowiedziała krótko.

Bolesław uderzył w dłoń.

— Co tam państwo szepczecie? — zapytał Targaniec.

— Powiedziałem pannie Annie, zagadkę jedną.

— Jaką?

— E, nie odgadniesz!

— Czy i ten dar ma być równie szlacheckim tylko przywilejem?

— Nieznośny jesteś... Słuchaj zatem.

Ma zęby jak piła, nie jest jednak piłą,

Ma żądo jak osa, nie jest jednak osą.

Skrzydła fantazyi daleko go nosią.

Traci aż rzeczy codziennych świadomość...

Dysputować z nim niemiło.

Co to za jegomość?

Anusia serdecznie parsknęła śmiechem. Ignacy zadumał się. Był tak roztargniony, że myśli nie umiał zebrać.

— Koło młyńskie, czy co? — rzekł po chwili.

— A widzisz, że nie zgadłeś, kalafiory!..

Targaniec zupełnie zbił się z pantaląku. Bolesław z Anusią, serdecznie się śmieli.

Ten śmiech, ta poufała wesołość, irytowały Ignacego. Nie nad rozwiązaniem zagadki myślał ale nad stanowczym rozmówieniem się z Bolesławem. To też, gdy wrócili do domu, i Ruszczyce pożegnał panie, Ignacy uczynił to samo i, podszedłszy do Bolesława, który odwiązywał konia od sztachet, odezwał się:

— Może pozwolisz odprowadzić siebie nieco? Mam ci coś do powiedzenia.

— Z ochotą! Sądzę, że zechcesz nawet po-koleżeńsku mnie odwiedzić.

Ignacy nic nie odpowiedział, zaciął usta i w milczeniu szedł koło Ruszczyca.

Tak upłynął dobry kwadrans

— Co miałeś mówić? — zapytał Bolesław.

Ignacy stanął.

— Dlaczego w drogę mi wchodzisz, ty? — odezwał się ze zgrzytem.

Bolesław dumnie głowę podniósł.

— Nie rozumiem — odpowiedział.

— Czy ty masz zamiar konkurrować o pannę Annę?

— Wiem tylko, że nie mam zamiaru z myśli moich tłómaczyć się przed tobą.

Ignacy spuścił z tonu.

— Mówmy po-koleżeńsku — szepnął.

— A to co innego! — odpowiedział Bolesław.

— Więc?

— Mam! — padło krótko.

Ignacy drgnął.

— Tyl..

— Ja!

Targaniec czuł, że go coś w gardle dławilo.

— Zkąd tak nagle postanowienie? — wyszeptał.

— Czy mi nie wolno o własnej przyszłości pomyśleć?

— Wolno, wolno, wam wszystko wolno!.. Batem chłopca oćwiczyć, i mnie stanąć wpoprzek kamieniem! Ale to tylko jest kaprys pański, fantazja! Wczoraj przyjechałeś, a dziś — postanowienie!.. Cha — cha — cha! Istotnie! płacę i życzę panu powodzenia.

Uklonił się i miał odchodzić. Bolesław postąpił ku niemu.

— Dlaczego masz ustępować? Równe mamy prawa, a wybór nie od nas zależy.

— Lecz wiadomo na kogo padnie. Za panem są pewne przywileje, jest to coś, choć zmurszałe, lecz posiadające moc narkotyku. Macie woń jakąś, odorującą, zgnilizny. Pan możesz grać na pewno, ja nie! Więc, ustępuję przed świeżym... próchnem!

— Niel.. ja odstępuję — odezwał się głosem podniesionym Bolesław. — Ale pod jednym warunkiem. Jeżeli w ciągu trzech miesięcy nie pozyskasz serca panny Anny, wstępuję w utracone dziś prawa.

Ignacy odetchnął, lecz spytał:

— A przez te trzy miesiące, co będziesz robił?..

— Widzieć mnie, ani wiedzieć o mnie, nie będzie!

— Słowo?

— No tego, który ci się próchnem być zdaje — dodał z uśmiechem Bolesław. — Ale...

— Oho...

— Ty odwiedzać mnie będziesz, bo przecie muszę wiedzieć jak rzeczy stoją.

Ignacy zgodził się i uspokojony powrócił do siebie. Rad był, że mu udało się tak łatwo przezwyciężyć nitkę, która mogłaby się w mocny węzeł splątać. Trzy miesiące, to spory kawał czasu. Jeżeli Anusi i gorętsza myśl jaka błysnęła, to stłumi ją obojętność Bolesława, to niedawanie znaku o sobie, a zapomnienie zupełne o niej. Powody będą jej nieznane, zostanie fakt. Zresztą o jej serce był spokojny. Miłość nie rodzi się na oczekaniu. Mogłaby się rozwinąć, gdyby Bolesław był częstym w domu pani Weroniki gościem, a tego właśnie nie będzie.

Zaszedł do księdza, który z aptekarzem czekał na niego i zasiadł do preferansa z kotłem.

— Ho, ho! coś tobie mości dobrodzieju, musiało pójść po masło — zawołał ksiądz Cyryak, widząc dobry humor Targańca.

— U mnie inaczej nie idzie, gram zawsze na pewno — odparł kupiec.

— Pewność nie jest fundamentem, na którym się buduje gmach wiecznotrwały. Niejednokrotnie rodzi się jej przyrodnia siostra, której na imię rozczarowanie — rzekł aptekarz.

— Tylko nie w tym razie — mruknął Ignacy.

— W każdym, ja powiadam!

— Grasz pan rolę Delfickiej Pyty, ale i jej przepowiednie nie zawsze się udawały.

— *Ryra bien ki ryra le durniè* — rzucił znów pan Onufry. — Rozumie pan?

— Gdyby to zdanie przełożył pan na język francuzki, możebym pojął.

— Pas! — odezwał się proboszcz.

— Dwa pasy! — rzekł aptekarz.

— Ośm w kiery — odezwał się Targańec.

— „Wszedł pies“ — mruknął ksiądz Cyryak — i gra się rozpoczęła.

Bolesław dziwnie smutny do domu wrócił. Czuł że trzy miesiące, w ciągu których miał Anny nie widzieć, ani się jej pokazywać, nieskończenie długie mu będą. I rzeczywiście. Zleniwiało słońce, dni wlokły się coraz wolniej, noce końca nie miały. O Anusi myślał więcej, niżby to może było innym razem. I właśnie dlatego, że nie mógł jej widzieć, widzieć pragnął, i dlatego, że nie mógł starać się o miłość, pokochał. Dnie całe przepędzał w towarzystwie ojca, albo z Siekaczem w dalekie lasy na polowanie chodził; do miasteczka nie zazierał, nawet księdza proboszcza odwiedzić nie mógł, z obawy by tam jej nie spotkać. Odwiedzał dalszych sąsiadów, słuchał komplementów sąsiadek chwytając zukosa spojrzenia kobiet, lecz myślał o Anusi. Pan Krzyżtof, rad był tym odwiedzinom, nie jeden w okolicy był dom zamożny niejeden chciał z domem jego się połączyć. Bolesław był perłą młodzieży, pan Krzyżtof zaś pragnął mieć wnuka.

— Cóż tam, Jacusiu, hm?.. — mrukał na starego wiarusa, po każdej nowej wizycie syna.

— Szuka — odpowiadał Siekacz, przykładając dwa palce do czoła.

Ignacy tymczasem codziennym gościem był w domu pani Weroniki. Uprzejmie, jak zawsze przyjmowany przez panią, starał się jej łaskę zaskarbić. Pani Weronika szeptała mu na ucho, że u dziewczyny śpi serce jeszcze, ale on rozbudzić je może i powinien. Oboje więc pracowali nad tem rozbudzeniem, i zdawało się im, że trud ich na marne nie szedł. Ignacy upewniał się przynajmniej, że panna Anna o Bolesławie nie myśli. To było pół wygranej. Nie wspominał o nim nigdy, ona o niego nie zapytywała, po paru tygodniach tylko jakiś smutek czoło jej pokrył, a usta ani razu nie zadzwoniły śmiechem. Ignacy myślał, że to był początek rozbudzania się uczuć.

Konkury przedłużały się, matka nalegała na córkę, by długiem rozmyśleniem nie męczyła starającego się.

— I cóż Anusiu? — zapytywała.

— Jeszcze tydzień, mamó.

Upływał tydzień.

— Anusiu, cóż? — pytała znow matka.

— Tydzień jeszcze, mamó! — prosiła.

Po upływie miesiąca Anusia uczuła się zmęczoną. Zamiast Ignąć coraz silniej do pana Ignacego, odtrącała od siebie myśl nawet oddania mu swej ręki. Była w jej sercu gołębia cisza, w której panował Bolesław. I gdy on w jej sercu wszechwładztwo swoje rozpościerał, Ignacy nikł, malał, tracił tą odrobinę przyjaźni uawet, jaką się dawniej cieszył. Nużyły ją odwiedziny jego krępowała obecność. Gdy z tklivem słowem do niej się zwracał, milczała; nie nauczono jej kłamać, a tego co czuła powiedzieć nie mogła. Mijały dni, tygodnie, miesiąc jeden i drugi upłynął Bolesław się nie zjawiał. Anna uczuła ból w sercu, poznała cierpienie.

Kochała!

Gdyby ją spytano dziś o to, spokojnie lecz głośno powiedziałaby:

— Kocham!

Ignacy nie widział nic, był pewny siebie. O Ruszczycu milczał.

Tak przeszły dwa miesiące z górą.

Pewnego dnia przypomniał sobie o słowie danem Bolesławowi. Postanowił wybrać się do niego, tembardziej, że przekonany był, iż rywal o chwilowej miłości zapomni. Wiedział o sąsiedzkich odwiedzinach, o spacerach; na których ścieścionem kołem, plec piękna otaczała młodego Ruszczycza. Zabawy, polowania, wygnały szlachcicowi amory z głowy.

O tych rozrywkach syna pana Krzyżtofa wiedziała i Anna, sąsiedzi dostarczali szczegółów. Anusia słuchała tych opowiadań z kamiennym spokojem, tylko gdy do snu się kładła, duże łzy po policzkach jej biegły.

Pan Ignacy Targańec udał się do Krzyżtoforów; poważne szczerkanie brytanów oznajmiło gości. Z dworu wyszedł Siekacz i, nakazawszy psem subordynacją, poszedł do przybyłego.

— Pan Bolesław jest?

— W portretowej sali z panem.

— Mogę się widzieć?

— Proszę!

Jacenty szeroko drzwi otworzył i głośno zaanonsował:

— Pan Ignacy Targańec!

Bolesław, który z ojcem rozmawiał, powstał szybko i wyciągnął rękę do dawnego kolegi. Pan Krzyżtof uniósł nieco czoła, ściągając szczeraste brwi, oczy przymrużył i gładząc mleczną brodę, lekkim ruchem głowy, powitał niezbyt lubianego gościa.

— Pana dobrodzieja zawsze można zastać na rozmowie z antenatami.

— Tak jak pana sprzedającego pomarańcze — odrzucił stary.

Ignacy chciał coś odpowiedzieć, ale go powstrzymał wzrok Bolesława.

— Chodź do mego gabinetu — odezwał się młody Ruszczyc. — Ojciec po obiedzie zwykle drzemie tu: przeszkadzać mu będziemy.

Pochylił się, ucałował ojca w ramię i, otrzymawszy od niego pocałunek w czoło, wraz z Ignacym opuścił salę.

— Może pójdziem do ogrodu? — zapytał gościa.

— I owszem!.. w waszym dworze za dużo jest stęchlizny.

Bolesław zaśmiał się.

— Ojciec mój-by ci odpowiedział, że u niego pomarańcze nie odświeżają powietrza.

— Nie odrodziłeś się i ty od mamuciego rodu! — sarknął Targańec.

— Mnie się zdaje, że czas już wielki, byśmy przestali próbować na sobie ostrza dowcipów. Nie rozdrażniać się nam wzajem, ale iść razem!

— To trudno — odrzekł gość. — Zdrowa i silna latorośl jałowego nie trzyma się gruntu.

— Skończmy rozmowę! — rzekł Bolesław.

Doszli do altany, otoczonej wiotkimi gałązkami dzikich winogron. Drewniane ławy otaczały ją wkoło, po środku stał stół kamienny. Usiedli w milczeniu. Bolesław był zadumany, Ignacy zpod wąsa się uśmiechał.

Górą przelatywał wiatr i trzącał zielone gałązki wijące się rośliny. W niewielkim oddaleniu, z cieniów modrzewi i lip, wyzierały łamane dachy szlacheckich dworów, jeden z nich był dworkiem matki Weroniki, ale utulony tak liśćmi i konarami drzew, że tylko dwa białe kominy z altanki dostrzedz można było.

Między dawnymi kolegami panowało milczenie. Po chwili Ruszczyc zapytał:

— Cóż panna Anna?

— Nie myśli o tobie — odparł Ignacy.

— Ale czy o tobie myśli?

— Bez wątpienia! Dziś o jej rękę formalnie się oświadczam. Zbladłeś? — zapytał, patrząc w oczy Bolesława.

— I cóż cię to obchodzić może? Lękałeś się współzawodnictwa, i próchno zostawiło zdrowej latorośli, kwiat piękny, wyrzekając się może własnego szczęścia. Zawisłi w mojem sercu nie znajdziesz, prócz dobrych życzeń dla niej i dla ciebie!

Ignacy poruszył się.

— Pozujesz na rycerza — mruknął — i chcesz, bym ci przypiał ostrogi. Ba, mości panie, musicie się obchodzić bez giermków teraz!

Wstał, podał rękę, którą Bolesław machinalnie uściśnął, i wyszedł z altany.

Czuł się zwycięzca, ale nie miał spokoju wielkiego zwycięzcy. Rad był, że odparował szlachcica, ale coś burzyło się we wnętrzu jego istoty. Zdawało mu się, że Bolesław chciał go upokorzyć ofiarą, jaką dla niego uczynił, i to go gniewało.

Zwyciężył, lecz tylko dlatego, że wróg dumnie ustąpił z pola.

Bolesław pozostał w altanie w jakiejś ciężkiej zadumie. Sledził długo nieruchomy, zgnębiony, wreszcie powstał, oparł się o słup podtrzymujący dach altanki, i wzrok na dworki obrócił.

— Dlaczego poznał cię? — z głuchem westchnieniem wyszeptał.

— Kogo? — zapytał głos tuż za nim, i Bolesław uczuł na swoim ramieniu dłoni czyjejs dotknięcie.

Obrócił się.

Pan Krzyżtof stał przed nim.

— Kogo? — zapytał po raz drugi.

— Anusię Blińską.

— Więc?..

Bolesław opowiedział rzecz całą.

— Aaal — rzekł Ruszczyc i, podtrzymywany przez syna usiadł na ławie. Siwemi oczyma patrzył długo w twarz stojącego przed nim młodzieńca jakby chciał myśli jego, czy uczucia wybadać, a pochwili szepnął:

— Krzyżtofor!..

Podniósł lewą rękę, którą położył na ramieniu Bolesława.

— Tak... słowo! — szeptał. — Runąć ci wolno lecz zdradzić, nigdy! Dość hańby i krwawych cięć, jakie nam w pierś rzucono, dumą zasług i czynów białością, zmyj Krzyżtoforom plamę rodu!..

Głos dziada drżał, łamał się, wiatr mleczną brodę szeroko po piersi rozrzucił i chwiał srebrnym jej głosem. Bolesław przykląkł u kolan ojca i czuł trzęsące się dłonie jego na czole swoim, skroniach i głowie.

— Krzyżtofor!.. — szepnął raz jeszcze starzec

(Dokończenie nastąpi).

RUCH MUZYCZNY.

Z pośród wszystkich dzieł sztuki, z pośród różnorodnych kierunków idealnych i natchnień twórczych ducha ludzkiego, żadne w chwili gdy je badać i roztrząsać przychodzi, nie nasuwa krytycznemu pióru tak trudnego zadania, jak dzieło muzyczne. Oprócz bowiem duchowej treści która głównie tylko uczuć i wzruszeń jest dziedziną, jeszcze zewnętrzna forma, oraz tak zwana faktura, stanowi jakoby motek splełany, trudny do rozwikłania i rozsucia przed oczyma niekompetentnych. Te myśli, w swej prawdzie stwierdzone już oddawna zresztą w świecie intelektualnym, opanowują nas jednak zawsze ilekroć staniemy wobec produkcji muzycznej zupełnie nowej a godnej zastanowienia. Jak określić to, co się daje tylko odczuwać? Jak zdefiniować użytkowane przez kompozytora techniczne środki i kombinacje, których ocena, jeśli użyjemy do niej właściwych, równie technicznych, określić, zrozumiały będzie i jasną li tylko dla koła specjalistów? Krytyk, radby się czasem, jak to mówią, sianem wykręcić, i rozwiniawszy nieco frazeologii odnośnie do danego utworu, zawołać na zakończenie: „idźcie a posłuchajcie samil“ Wszelako tak być nie może, gdy nawet i ci, co sami słyszeli, dla zwyczaju a może z zaufaniem za które z góry wdzięczni jesteście, oczekują piśmiennego zdania sprawy o nowem dziele.

W obecnej chwili na scenie teatru Wielkiego idą przedstawienia opery jednoaktowej p. t. „Cavalleria Rusticana“, imię zaś autora jednocześnie

prawie z dziełem, występuje po raz pierwszy na szerszą widownię muzycznego świata. Opera, tak u nas jak i wszędzie, zjednywa sobie od razu poklask serdeczny, przychylnie zdania krytyków. Zkąd to pochodzi? Wypływa li to z entuzjazmu dla nowości, lub względów dla młodzieńczego talentu: względów na których trwałego powodzenia budować na przyszłość nie można? Sądźmy przeciwnie. Oto młody kompozytor, skrzydła swoje rozwijając w krainę ideałów, szukał przedewszystkiem prawdy, prawdy życiowej, objawiającej się w działaniu jego bohaterów, w starciu się ich uczuć i namiętności, ich pragnień i popędów; starał się p odsłuchać tętna serca ludzkiego, oddać jego porę wy rzeczywiście, naturalne, nienastrajane sztucznie gwoli efektem muzycznym. Szczęśliwy pomysł libretta, dozwolił Mascagniemu oprzeć się na typowości wybitnej, wyrazistej, jaka przedstawia się jeszcze u ludu, i odtworzyć ową typowość nie posługując się wszelako żywcem braniem motywami ludowej pieśni, jak to czynili niektórzy kompozytorowie, w celu ułatwienia sobie charakterystyki tym środkiem dogodnym. Nie pojedyncze momenta zatem, ale cała barwa muzyki u Mascagniego jest charakterystyczną, prześląknietą południowym gorącym temperamentem włoskiego ludu. Dramat, który się rozgrywa i postaci biorące w nim udział, ilustrowane są falami dźwięków, już-to energicznych, gwałtownych, już-to słodkich a namiętnych, jak uczucie tego ludu, u którego miłość, gniew, zazdrość, występują gwałtownie z całym krwią gorącej wezbraniem.

Tematyczność jest tu bujna i świeża, efekta zaś muzyczne, o tyle tylko w grę wchodzi, o ile dadzą się logicznie wytłómaczyć; dla tego Mascagni, wybornie spożytkowując chóry, jako wyraz odpowiedni dla oddania wrzawy i ruchu zebranego tłumu, odrzucił zupełnie tak zwane ansamble (tercety, kwartety i t. d.) które pomimo maestrii wielu znakomitych kompozytorów, są zawsze w dramacie muzycznym, tylko zestawieniem, mniającym się z logiką i prawdą. Oprócz tego nowatorstwa, któremu zresztą już Wagnerowska szkoła dała początek, nie widzimy w „Cavalleria Rusticana“ żadnych wyryków, napuszystości i gwałtowności które cechują tegoczesny kierunek muzyki operowej. Instrumentacja u niego jest przejrzystą, bez trudu daje się ogarnąć i nie używa słuchu, opracowanie pomimo to jest bardzo starannem; oryginalne zestawienia rytmiki uderzają dowcipem pomysłu.

Nie możemy tutaj szczegółowo zaznaczać, piękniejszych momentów opery, momentów bowiem któreby się ograniczały ostrym fajerwerkim efektu, niema; wszystko ze sobą się kojarzy, naturalnie wypływa jedno z drugiego, posiada swoją odrębną wartość, odpowiednią do danej chwili akcji; całość zaś robi wrażenie silne i długotrwałe.

Operę dzieli na dwie części śliczne Intermezzo orkiestralne, o nastroju spokojniejszym, łagodnym prawie. Jest ono, jakoby wśród burzy, chwilą ukojenia się rozhakanych żywiołów, chwilą, przy której i słuchacz wzruszenia swoje uspakaja, nabiera oddechu do dalszych wzruszeń, jakich dostarcza druga część dramatu, jeszcze bardziej wstrząsająca i potężniejsza.

Przedstawiciele głównych ról, nie wszyscy trafnie odpowiedzieli swemu zadaniu. Panna Busi, jako Santuzza, zasługuje na szczerzy poklask; i w śpiewie i w akcji, zdołała tym razem pochwycić charakter właściwy. Pan Suagnes zawsze jednaki, pochopny do szarży, którą mniema zastąpić prawdę, mniej się podobał. Najtrafniej pod każdym względem oddał swą rolę p. Chodakowski, jako śpiewak inteligentny i wytrawny, a przytem umiejący wnikać całym sercem w istotę danego bohatera; był Alfim takim, jakim go chciał mieć kompozytor: gwałtownym i płomiennym.

Jak na teraz, pozostaje nam tylko do zanotowania większy wieczorek Towarzystwa muzycznego, którego interesujący program wypełniły same damy.

Panna Trebelli, w pokaznym szeregu wykonanych kompozycji (recitativo, aria, polonez z op. „Mignon“ Thomasa, Petite abeille z Reine de Topaze“ Massego, wielka aria brawurowa Thoma-

sa, Vilanelle Eva del Acque) dozwoliła nam ocenić głos swój wyrobiony, czysty o skali dość obszernej, szkołę wyborną, pewność siebie pod wielu względami zupełnie usprawiedliwioną, ale nie mogliśmy niestety dostrzedz intuicji głębszej, owego światła które blaskiem swoim rozjaśnia duchowe strony każdego utworu. Jest to brak wielki, którego inne przymioty śpiewu panny Trebelli nie zdołają zastąpić.

Niezwykłą sensacją sprawił na wieczorku tym występ panny Campbell, wiolonczelistki. Potężny instrument pod drobną rączką niewieścią brzmiał jednak silnie i dźwięcznie; jakby na przekorę, nie dostawało mu lekkości, delikatnych zarysów, odcieni subtelnych, z których przeziara ostatnie, artystyczne *coup de main*. Lecz są to rzeczy do nabycia przy talencie panny Campbell; wirtuozka zwalczyła już wiele technicznych trudności i znać że sztukę poważnie traktuje. Wykonała: Koncert A-mol Goltermana, Adagio Kocha, Traumerei Schumana, Sicilianę Pergolesego i Mazurkę Poppera.

Fortepian zabrzmiał tylko parę razy, pod palcami znanej już pianistki panny Łosakiewiczówny, o której już niejednokrotnie na tem miejscu wyrażaliśmy się ze szczerem uznaniem.

Juljusz Stattler.

NOWINY PARYŻKIE.

W Październiku 1891 r.

Spóźniony sezon ogórkowy. — Pustki paryżkie. — Wakacje i stacje lecznicze. — Słoneczny Wrzesień. — Jego nowiny i fakta. — Śmierć p. Grévy'ego, byłego prezydenta Rzeczypospolitej Francuzkiej. — Charakterystyka człowieka. — Gorzkie dni ostatnie. — Pogrzeb w rodzinnym mieście. — Opinia publiczna w Paryżu. — Obojętność stolicy i kraju. — Wielkie manewra wojska. — Znaczenie ich i wrażenia. — Co zdaje się być główną myślą. — Ostatni przegląd. — Wyścigi bcyklistów z Paryża do Brest'u. — Jak się to odbyło. — Zachwyty gapiów paryżkich. — Tryumfator i jego życiorys. — *Lohengrin* w operze Paryżkiej. — Powody do rozruchów ulicznych. — Przegrana — Sąd o Wagnerze, dwóch znakomitych mistrzów francuzkich: Berlioz'a i Gounod'a. — Bankiet w Bretanii dla p. Renana i jego nowe przemówienie.

(Dokończenie).

Zresztą nic nowego niemogło dojść do dyrekcyi bo we wszystkich okolicach które przebiegał w tym czasie p. Torront, biura telegraficzne były zamknięte od godziny 9 wieczorem. Tłum ciekawych rozszedł się spokojnie, a najwytrwalsi dali sobie słowo spotkać się o godzinie 3-ej zrana przy słupie stanowiącym metę *à la Porte Maillot* w Lasku Bulońskim.

Tam nazajutrz przed wschodem słońca, ciekawa i cierpliwa rodzina gapiów paryżkich, spała rozłożona wzdłuż sztachet Lasku Bulońskiego, czekając na przybycie zwycięzcy, a wielka liczba bcyklistów, aby służyć mu za straż honorową, kołowała w okrag tych śpiocłów. Niecierpliwi wyjeżdżali o dwa lub trzy kilometry naprzód na spotkanie tryumfatora i wracali — z niczem.

O godzinie 6½ rano, kiedynakoniec kommissarze wyznaczeni ku temu, wezwali publiczność do oczyszczenia placu przy słupie mety, było tam już jakie 10 tysięcy zdenerwowanego tłumu, który przybywszy za wczesnie musieli czekać kilka godzin naprzód.

Nakoniec weszło słońce, i wdali wśród honorowej straży widać przybywającego zwycięzcy; dziesięć tysięcy głosów woła naraz: „To on! to on! To on rzeczywiście, można go rozpoznać wśród innych po trójkolorowym naramienniku, był to znak bcyklistów biorących udział w wyścigach.

O godzinie 6 minut 30 p. Torront i jego honorowi towarzysze stanęli u mety.

Dziękując za okrzyki, zwycięzca skinieniem głowy kłania się przytomnym i odpycha zlekka

pomoc którą mu dają, aby go zсадzić z bcyklu, złazi sam nakoniec nie bez pewnej trudności, bo to co Anglicy nazywają w przenośni talerzem (*assiette*), musi być uszkodzone cokolwiek, i idzie do sali gdzie prezes wyścigów p. Thomas, stwierdza godzinę jego przybycia w swojej książeczce.

Tymczasem sprawdzono stemple i znaleziono je nienaruszonymi. P. Torront obmywszy twarz, i dawszy się wytrzeć energicznie na całym ciele, wita się z żoną i braćmi którzy nań czekali, uściśnawszy kilku znajomych, wsiada do powozu i rusza śpiesznie do domu.

Wyjechawszy z Paryża w Niedzielę rano o godzinie 7-ej, Karol Torront, przebiegł w ciągu 71½ godzin ogromną przestrzeń 1.185 kilometrów, całym wypoczynkiem jakiego zażył w tej długiej podróży, były kilkuminutowa zatrzymanie się w każdym z dziewięciu czy dziesięciu miast, dla kontroli wyścigu; za całe pożywienie miał kilka filiżanek bulionu i raz jeden dwie gruszki. Z powrotem w miasteczku Pré-en-Pail zjadł bułeczkę z masłem i wypił trochę wina z wodą.

P. Torront który ma dziś trzydzieści dwa lata, jest, jak tu nazywają, „professyonistą“ w elocypedu. Małym chłopcem będąc na służbie w redakcyi dziennika *Evénement*, miał obowiązek przewozić do dziennika sprawozdania z posiedzeń Izby Deputowanych, naówczas w Wersalu. Kilka razy na dzień na bcyklu, bardzo niezgrabnym w owe czasy, przebiegał przestrzeń pomiędzy Paryżem a Wersalem, i w ten sposób nabrał wprawy, dziś już posuniętej do mistrzostwa.

W roku 1877 uczestniczył tryumfator w wyścigach międzynarodowych i zyskał na nich tytuł „Champion de France“ (Rycerz Francyi).

Dzisiejsze wyścigi z których wyszedł zwycięzcą, będą jak mówił jego ostatnim tryumfem. Nie chce wzięwszy laur zwycięzki, narażać nabytej sławy w nowych a męczących wyścigach. P. Torront wygraną swoją przypisuje użyciu kauczukowych obręczy na koła bcyklu, który jest fabrykacyi angielskiej, i waży tylko 36 funtów; te kauczukowe obręcze, według p. Torronta dozwoliły mu naprawić tak szybko i usunąć zle, spowodowane przez pięć czy sześć wypadków, które mu się wydarzyły pomiędzy Morlain i Brestem. Za zwycięztwo swoje dostał 2.000 fr. nagrody, a przytem prezenta od tych, co trzymając zakłady znaczne powygrywali summy.

Z reszty wyścigowców jeden tylko niejaki p. Liel-Laval przybył jako drugi do mety, o cztery minuty na czwartą, i otrzymał drugą nagrodę, 1.000 fr. Mógł on wprawdzie przybyć daleko wcześniej ale widząc, że go silnie wyprzedził p. Torront, Liel-Laval, który prześcignął resztę konkurentów, zwolnił biegu aby się próżno nie męczyć, i spokojnie już odbył resztę drogi. Żaden już więcej z popisujących się nie przybył do Paryża tegosamego dnia.

Trzecim z rzędu wypadkiem, wzbudzającym ogólne zajęcie, były rozruchy uliczne z powodu przedstawienia opery Wagnera „Lohengrin“. Było to prawdziwe arcydzieło ulicznikowstwa paryżkiego, kto na to patrzył, ten może sobie powiedzieć, że widział widowisko, któremu trudno dać nazwisko!

Potrzeba tu wyznać na koniec, że ci kochani Paryżanie muszą mieć diablo wiele rozumu i sprytu, aby ocalić swoją reputacyą po tych kaskadach swawoli i głupoty, z jakimi występują od czasu do czasu.

Pod słońcem niema nic dziwniejszego od tej historyi „Lohengrina“ w Paryżu, albo, jak go oni ochrzcieli na swój sposób: *L'oise-en crin* (Gęś z włosia). Oto mamy przed sobą dzieło muzyczne, którego przedstawienia na scenie paryżkiej domaga się oddawna większa część muzyków. Dyrekcyja Wielkiej Opery wyprowadza je w końcu na scenę i zaraz 20 tysięcy osób — liczba urzędownie stwierdzona — zapisuje się, aby być na pierwszym przedstawieniu.

Od kilku miesięcy odbywają się próby, przez kilka tygodni prawie codziennie, i żadna protestacya nie zakłóca spokojnego rozwoju tych pierwszych i niezbędnych przygotowań do wystawienia tak ważnego w sztuce i poważnego dzieła.

Pozostawiono dyrekcyi wszelki czas i swobodę, do wykonania potrójnych nowych dekoracji, uszyta stosownych kostiumów, podwojenia liczby maszynistów, zaprzężenia do pracy trzechmiesięcznej całego zastępu artystów, szczęśliwych, że mogą trochę zarobić pieniędzy, podczas tego ogórkowego sezonu.

I naraz, na dni kilka przed pierwszym przedstawieniem, garstka ludzi—czy tylko prawdziwie ludzi?—zaczyna się poruszać w linii, tworzy kabałę, rozpusza fałszywe wieści, wywiesza chorągiew fałszywego patriotyzmu, ogłasza że niebezpieczeństwo zagraża Francji, krzyczy, szkaluje, gotuje świszczałki!..

I to wszystko dlatego jedynie, że w Paryżu miano przedstawić operę, która od lat 30-tu była wystawiana i okrywana oklaskami na wszystkich scenach świata — operę, którą właśnie tylko co przedstawiano na scenach francuzkich w Bordeaux, w Rouen i t. d.

Chciano dać czas wyszumieć się temu piwu i odłożono przedstawienie, zapowiedziane zrazu na 11 września, na 15 tegoż miesiąca. Nie przeszkodziło to jednak garstce niezadowolonych spróbować sił swoich pomimo z góry zapowiedzianej represyi i zarządzonych energicznych środków dla zapewnienia spokoju ludziom dobrej woli.

Ale cała ta manifestacja, jak wiele poprzednich, ta tak zwana po-paryzku *dzornatka*, klapnęła obrzydliwie i skończyła się na kilku pobitych oknach i na kilku guzach, które wyskoczyły na twardych łbach gorętszych, a może tylko ciekawszych gapiów.

Policja zresztą przedsięwzięła najenergiczniejsze środki. Sam prefekt policji był obecny na Placu Opery i kierował obroną publicznego porządku, biorąc w opiekę przybywających widzów, którzy na wiele dni przed pierwszym przedstawieniem opłacili swe miejsca. Dano rozkaz wszystkim agentom policji nie pozwalać zbijania się w gęste tłumy.

W ciągu dnia wszystkie kluby paryzkie otrzymały od dyrekcyi opery następujące zawiadomienia.

„Dla utrzymania porządku, wszelkie wejścia bezpłatne są zawieszono; sami tylko abonenci i osoby zaopatrzone w bilety będą wpuszczane do sali“.

Policja zaś ze swej strony dozwalała wejścia do teatru jedynie tylko osobom, mającym prawidłowo wydane bilety.

Pięciu komisarzy policji ze swemi brygadami agentów stało na służbie. Straż wojskowa była postawiona w wewnętrznym dziedzińcu opery od strony Bulwaru Hausmanna. Oprócz tego w koszarach i w sąsiednich ratuszach cyrkułowych siła zbrojna była pod bronią, kommissarze mieli sobie zlecone przesłuchiwanie *stante pede*, każdego z zatrzymanych przy manifestacji.

Nic więc dziwnego, że wobec takiej energii, wszelkie demonstracje rozwiały się z dymem — a wówczas wszyscy, którzy się tu zbiegli dla ciekawości tylko zawiedzeni w oczekiwaniu, dawaj-że krzyżeć i wołać: *Quel four! quelle blague!*

To też w teatrze, zamiast oczekiwanej burzliwej reprezentacji, spokój i porządek może nawet zbyt czysty, każdy sobie mówił: „A to prawdziwy wieczór zawiedzionych (*des dupes*)“! Ale powiedzmy tutaj: zawiedzeni byli ci tylko, którzy oczekiwali gwałtów, a zamiast tego znaleźli apoteozę — zamiast zaś przerażającego gwizdania, — burzę oklasków.

Wejście do sali odbywa się porządnie i spokojnie jak zwykle. Jednak jest to, jak tu mówią, *Sala letnia*; ubiory skromne, mało bardzo brylantów i złota, ostrożność dobra. O godzinie 8-iej p. Lamouroux dyrektor orkiestry zajmuje swe miejsce. Po introdukcji, wysłuchanej z głębokim milczeniem, zasłona podnosi się i publiczność jednym okrzykiem objawia podziw swój na widok dekoracji i kostiumów.

Cały akt pierwszy był nieustającym ciągiem oklasków publiczności. Oklaski te szczególnie zwracały się do dyrektora orkiestry; musiał on stać kilka minut zwrócony do widzów, schylając głowę przed tą prawdziwą „burzą“. Potrzykroć musiano podnosić zasłonę dla artystów, wywołanych i przyjmowanych bez końca.

Tak rozpoczętego przedstawienia, łatwo było przewidzieć koniec. Zapal widzów wzrastał z każdym aktem, i wszyscy opuścili teatr uradowani, zadowoleni w całej pełni muzyką i artystami. O tych nic nie powiem, bom nie kompetentny sądzia.

O godzinie 12 minut 20 rozpoczęło się wychodzenie publiczności z teatru, a stało się to w największym porządku. Trzeba dodać, że od godziny pół do dwunastej plac i ulice otaczające operę, były już wymiecione z tłumów. Ciekawi i gwizdacze znużeni zapewne długim oczekiwaniem, porozchodzili się do domów, jednakże na Bulwarze Włoskim, kupa ze dwustu złożona osób, próbowała raz jeszcze, śpiewając Marsylianę, złamać opór policji. Nowa więc bójka nowe guzy, nowe zabranie kilku do kozy, a potem: a potem: „Panowie, uciszcie się!“ Dobranoc, i na tem koniec.

Przedstawienia „Lohengrina“ odbywają się spokojnie. Skończyły się burdy, ale jako epilog dobrze jest tu przytoczyć świadectwo o muzyce wagnerowskiej, wydane przez dwóch znakomitych atoli różniących się kierunkiem mistrzów francuzkich.

Oto najpierw zdanie sprawy z przedstawienia „Tanhäusera“ za czasów Cesarstwa, jest temu lat 20, przez Hektora Berliozę w felietonie „Debatów“.

„Boże z Niebios! Co za przedstawienie! Jakie wrzaski śmiechu! Paryżanie wystąpili wczoraj w nowym zupełnie blasku; Paryż śmiał się z nędznego stylu muzyki; śmiał się ze swawoli błazeńskiej orkiestry, śmiał się ze z naiwnych beczek fagota, pojmuje on nakoniec, że jest pewien styl w muzyce. Co zaś do okropności — wygwizdał on je wspaniale“.

Ze strony muzyka i mistrza, który sądzi kolegę, może to się wyda zbyt ostre.

Jako przeciwieństwo daję tu zdanie drugiego mistrza: Gounoda, żałuję, że nie mogę tu pomieścić całej rozmowy autora „Fausta“ z reporterem jednego z tutejszych dzienników. Gounod, cierpiący, przebywa teraz w Saint-Cloud; tam go zdybał i zaczął ów reporter. Oto koniec jego rozmowy z mistrzem.

— A ty, kochany mistrzu, czy pójdziesz posłuchać „Lohengrina“?

— Niezawodnie! Nigdy-bym nie chciał, aby przedstawienie podobnego dzieła, mogło się obejść bez mej obecności. Nie byłem nigdy w Beyreuth'cie, a teraz ponieważ jestem za stary, ciężko zmęczony, nie mogę się zdecydować na podobną podróż. Pójdę więc do opery, zaraz po powrocie do Paryża.

— To jest?

— 4 Listopada, w dzień moich imienin!

Ta sprawiedliwość. — pocieszal

Aby zebrać wszystkie rysy tej fizioznomii, tak zwiczonej, której tu chciałem dać wam podobiznę, nie mogę opuścić i tego ostatniego, jaki mi nastęrcza śmiało wygłoszona mówka Renana.

Na bankiecie wyprawionym na cześć jego przez grono dobrych przyjaciół, na wyspie Bréhat przy brzegach Bretanii, p. Ernest Renan powiedział jedną z tych mów, których on sam tylko posiada tajemnicę. Była to znówu mieczanina ironii, uśmiechającej się dobrodusznie filozofii i wreszcie bolesnego kłasnania twarzym a dotkliwym zębem.

Chociaż mowa nie była bardzo długą, nie mam jednak nawet tyle miejsca, abym ją mógł tu podać w całości. Jest to jak powiedziałem ten mieniący się obraz, który przedstawia żywo umysł i moralne usposobienie mówcy, nieujętego niczem i nigdy, bo w swem wiecznym wahaniu się, zawsze jest on gotów zburzyć i zniszczyć to, co przed chwilą, z ubóstwianiem i pod niebiosą wynosił.

Dziękując rodakom, którzy urządzili bankiet, zwrócił się ku swej młodości, ku swej rodzinie, dziś już bardzo uszczuplonej; mówił z rozczuleniem o tych wspomnieniach, o tem co mu z nich dotąd zostaje i ze smutkiem spoglądał na przyszłość, która mu nie wróży dość chwil pomyślnych iżby wykonać to wszystko, co nosi w swem sercu; — wyliczał tu zaraz, z uśmiechem ironii rozmaite prace o których marzy czasami, i zdaje się jakby żartował sobie z tej bibliografii *in extremis*.

Potem, zawsze z tym uśmiechem zadowolonego epikurejczyka, mówił o spoczynku, o jakim marzy wolny i rozmarzony, oddany całkiem czytaniu współczesnych powieści tylko — a kończył zeznaniem, iż jest siła rzeczy, którychby się chciał wyuczyć, a których, niestety! nie pozna nigdy!

„Tak — powiada — jeśli zachował wesołość, uczucie obowiązku i żywe zamiłowanie życia, przypisuję to miłości tych, którzy mię otaczali, od dziecka miałem wokół siebie ludzi poczciwych. Rodzina, przyjaciele lubili mię bardzo, byłem bardzo kochany od swych nauczycieli, ale tu muszę się wstrzymać. Moi dawni nauczyciele ludzie bardzo poczciwi, trochę „ograniczeni“, nie żądają abym mówił o nich, gniewają się, gdy jestem im wdzięczny, otóż będę im mimo to wdzięcznym!“ W tym krótkim ustępie streszczony jest cały p. Renan.

Potem dalej prowadzi — że życie jest słodkie i dobre; mówi z rozrzwiniem o rodzinnej Bretanii, o tem prostem i „cichem“ życiu przodków, o ich „nieświadomości“. Ignorantyzm jest to złe ziele, którego nie potrzeba uprawiać, ale to złe zielsko ma też swą dobrą stronę: jest to trawa, którą świat jest wysłany, i ztąd wiecznie zostaje zielonym, nieprawdaż mój kochany Perrot? Czy to odwołanie się do przytomnego kolegi z Instytutu, w tem miejscu, gdzie chodzi o głupotę ludzką — jest ironią dobroduszną, czy argumentem komicznym? — trudno zgadnąć.

Nakoniec żałuje Renan, że wnuk jego ulubiony Michalek jest nieobecnym na tej biesiadzie, bo to według opinii dziadka, skończony majątek bretoński; to wspomnienie daje mu odwagę i nadzieję, że będzie żył lat ośmdziesiąt, i będzie miał czas — pożreć wszystkie powieści“.

Ta poufała powągodka, jak powiedziałem, to cała i najlepsza podobizna tego człowieka, który, rozmilowany w sobie, nawet kiedy się gani, czyni to w sposób, co go podnosi i wynosi nad innych.

7.

Przez Alpy.

(Dalszy ciąg).

Nie mniej pięknym jest widok Adryatyku i wybrzeża, widać je w obie strony od Daino aż do wież i murów Capo d'Istria, oblewane zielonawymi falami i urozmaicane dziełami pracy człowieka. Port sam przedstawia obraz ożywy, pełno tu ruchu, gwaru, jedne statki ładują, inne składają towary, las masztów i kilkanaście wysokich kominów.

Wśród marynarzy Tryest nie cieszy się dobrą sławą, z powodu zdradliwego bora, północnego wiatru, który od czasów niepamiętnych wyrządził szkody olbrzymie. To skłoniło rząd do przedsięwzięcia budowy tam potężnych, kosztujących 16 milionów guldenów. Ciągną się one na przestrzeni 1200 metrów i powstrzymują gwałtowny nacisk wzburzonych fal morskich. Wspaniałe te budowle wraz z obszernymi dokami i składami towarów tworzą obraz imponujący.

Wśród okrętów, znajdujących się w porcie, dostrzegamy okręt wojenny turecki, i piękny jacht króla greckiego, bawiącego właśnie w Berlinie. Na prośby nasze kapitan zezwala uprzejmie na obejrzenie statku. Oprowadza nas po nim jeden z officerów. Kajuty urządzone z przepychem, godnym widzenia i podziwu. Zajęło nas także bardzo przyglądanie się pracy nurka, wynajętego za wysoką zapłatę przez stowarzyszenie kupców, w celu wydobycia z głębi resztek wojennej fregaty francuzkiej, zatopionej w roku 1809.

Pod wpływem przyjemnych wrażeń powracaliśmy do domu, płynąc spokojnie po czystych wodach kanału, i podziwiając wspaniałe obrazy, pełne powagi, wesela i słońca. Jakże inaczej to

wszystko wyglądało dnia następnego, po gwałtownej burzy, która zerwała się w nocy. Wiatr południowy pędził olbrzymie bałwany z siłą, o jakiej my, mieszkańcy łądów, nie mamy wcale pojęcia. Przez całą noc słyhać było ryk fali i wycie wiatru, który nie uciszył się jeszcze nazajutrz, i woda w porcie zburzyła się tak gwałtownie, iż rzuciła okrętami, stojącymi na kotwicach, jak drobnymi łódkami.

W parę dni potem udaliśmy się na zamkową górę do starożytnego kościoła San Giusto, z kądem — jak nas zapewniano — widok miasta jest zachwycający. Droga do kościoła prowadzi przez stare dzielnice miasta, z wązkimi uliczkami, pełne zaułków i ciche. Gmach świątyni sprawia imponujące wrażenie. Pochodzi on podobno z IV-go stulecia i budzi podziw już samą wielkością. Wewnętrzne nawy olbrzymie; w północnej znajdują się prastare mozaiki na tle złotem, wielkiej wartości. Wogóle cały kościół jest klejnotem archeologicznym; w fasadzie mieszczą się olbrzymie okna, ułożone w półkole; po nad niemi wznosiła się niegdyś wieżyczka, strącona gwałtownością bora.

Naprzeciw kościoła leży *Muzeo lapidario* z pomnikiem archeologa Winckelmana, zamordowanego tutaj w roku 1768. Z placu przed domem widok bardzo piękny na malowniczą zatokę Muggii, poza którą w mgle wznoszą się nagie szczyty Istrii.

Wracamy drogą inną lecz podobną, wiodącą w stronę miasta przeciwną. Po drodze bawia nas scena z życia włoskiego ludu, które uczą nie mniej od starych pamiątek i nie mniej od nich godne są widzenia, chociaż żaden „przewodnik“ o nich nie wspomina. Nawet w tych ciasnych i wązkich uliczkach, pośród ubogiej, prostaczej ludności, zda się przebywać stary duch klasycyzny. Każda postać stworzona tutaj dla malarza, typowa, silna, charakterystyczna, czy będzie nią nagi żebrak z papierosem w ustach, czy opalone, czarnowłose dzieci, ledwo odziane łachmanami, czy wreszcie kłócące się na środku drogi kobiety. Ależ wdzięku w każdym ich ruchu, jaki płomień w oczach!

Przechodząc, wstępujemy do serbskiego kościoła, gdzie uderza nas cały szereg pięknych obrazów w stylu greckim: szaty świętych wykładane srebrem, twarze tylko malowane farbami.

Do hotelu Delorme, gdzie stoimy, powracamy wzdłuż kanału, zbudowanego przez Maryą Teresę, głównie dla wygody okrętów handlowych, które mogą tutaj spokojnie wyładowywać towary, gdyż wody kanału nawet podczas burzy nie grożą niebezpieczeństwem.

Przez szeroką poprzeczną ulicę dostajemy się do środka miasta, na plac główny, który przyozdabia okazały ratusz, piękny pałac kompanii Lloyda i giełda. Jedna z piękniejszych ulic prowadzi na Corso.

Ruch na mieście panuje bardzo ożywiony, wieczorem zwłaszcza, jak wogóle we Włoszech. Tłumy publiczności snują się po szerokich, jasno oświetlonych ulicach, ale na pierwszy rzut oka poznać można, że ludność to nie czysto włoska. Rzeczywiście średnie i wyższe sfery mieszczańskie w Tryeście składają się po większej części z cudzoziemców, osiadłych tutaj chwilowo, albo na czas dłuższy. Nie brak pomiędzy nimi Anglików, Szwajcarów, Niemców, Serbów, Greków, Rumunów, Turków, Dalmatów i Ormian. Są to rodziny kupieckie, które interesami i zajęciami wiążą z miastem handlowym.

Turcy używają powszechnie narodowego stroju i od samego rana zapełniają kawiarnie blisko giełdy położone.

Przez Corso dostajemy się na Corsa Stadia, zakończoną wielkim publicznym ogrodem. Dalej ciągnie się dosyć duży, starannie utrzymany lasek, o jakie pół godziny drogi wznosi się willa Ferdynanda, ulubione miejsce wycieczek mieszkańców Tryestu. Z położonej na wzgórzu „Oberży myśliwskiej“ roztacza się uroczy i rozległy widok na zatokę okoloną malowniczymi brzegami.

Nazajutrz zwiedziliśmy Miramar, wspaniałą zamek nieszcześliwego arcyksięcia Maxymiliana, o pół godziny drogi na wschód od miasta położony. Zbudowano go w roku 1856 w stylu nor-

mandzkim, na rozkaz tego monarchy. Wzniesiony na skalistym brzegu, u stóp gór wiecznie zielonych, sprawia on czarujące wrażenie. Jego świecące dachy, wysoka wieża i białe marmury zdaleka pociągają oko. Zamek otacza park obszerny, z wielkim nakładem utrzymany i zachwycający bogactwem południowej roślinności. Pyszne oleandry i kamelie stanowią tu całe klomby i podczas rozkwitu wyglądają jak olbrzymie bukiety.

Wnętrze zamku nie mniej godnym jest widzenia, zwłaszcza gabinet arcyksięcia, późniejszego cesarza Meksyku, który przypomina sławną kajutę jego na fregacie „Novara“, jaką zajmował podczas pamiętnej podróży naokoło świata, w r. 1856. Wspaniałą jest także wielka tronowa sala z apoteozą cesarza Karola V-go, malowaną na ścianie *alfresco*, i prześliczny buduar cesarzowej Karoliny, zawierający wiele osobliwości Wschodu.

Powracając, ochłodziliśmy się kąpielą morską w miejscowości, zwanej Barcola. Urządzenie tego zakładu zasługuje na uwagę. Przestrzeń dla kąpiących się oddziela od morza gruba druciana siatka, zabezpieczająca od napadu rekinów, które od czasu otwarcia Kanału Suezkiego, coraz liczniej pojawiają się w Morzu Śródziemnym i Adryatyku.

Dnia ostatniego udaliśmy się jeszcze na zwiedzenie okrętowego warsztatu kompanii Lloyda. Lloyd austriacki, którego 80 statków kursuje po Morzu Śródziemnym, nie licząc tych, jakie odwiedzą porty Azji i Afryki, tutaj posiada swoją główną stacją i wspaniałe urządzone warsztaty. Pracuje na nim stale 2.000 robotników, a wykończanych bywa rocznie około 120 okrętów.

Wędrowka po olbrzymich salach, obejrzenie giserni, warsztatów mechanicznych, kuźni, zajęło nam wiele czasu. Uderzenia wielkiego parowego młota, w połączeniu z odgłosem śrub, siekier, młotów kowalskich i koła rozpedowego, tworzą hałas ogłuszający. Poznaliśmy szczegółowo budowę wielkich pocztowych parowców i przyjrzelismy się dokładnie żaglowcowi, mającemu 5.000 ton objętości.

Opuszczamy nakoniec ruchliwy i bogaty Tryest, by znów koleją żelazną podążyć do Fiume. Nie żałujemy, żeśmy tę drogę obrali, gdyż pozwala nam to poznać osobliwości Karstu i jego oryginalne widoki. Raz jeszcze zachwyconym wzrokiem zegnamy zielone, połyskujące złotem, fale Adryatyku; wkrótce nadbrzeżne góry zasłaniają go naszymi oczom.

Krajobraz zmienia się nagle: miejsce malowniczych, pełnych barw, blasków i życia wybrzeży, zajmuje pustka szara, jednostajna. Na stacji San Pietro przesiadamy się na inną drogę. Ciągnie się ona z początku względnie ludną okolicą, lecz staje się coraz pociępszą i coraz bardziej pozbawioną mieszkańców. Tylko w dolinach, o których wspominaliśmy już powyżej, koncentruje się życie i praca, one tylko urozmaicają monotonna, ubogą naturę tych gór ponurych.

Po godzinie drogi pośród nagich skał i złomów przybywamy na stację Matulia. Odtąd zwracamy się znów ku wybrzeżom i wkrótce wzrok nasz z rozkoszą wita wspaniałą zatokę Quarnero pomiędzy Istrią a Dalmacją. Prześliczną jest ona, zwłaszcza w stronie południowo-wschodniej, gdzie nurt przejrzysty wrzyna się głęboko pomiędzy Velię i Cherso, a wysokie łańcuchy gór nadbrzeżnych zamykają horyzont.

W głębi na wybrzeżu widać rybackie miasteczko Wołoszka i kąpiele morskie Abbazy, ponad którymi tonie w mgle wyniosły szczyt Monte Maggiore.

Przybyliśmy do Fiume, posłowińskiego „Rieki“, w starożytności Vitipolis.

Dzisiaj jest to po Tryeście najznacniejszy port austriacki i liczy przeszło 20.000 mieszkańców. Zatoka większa: niż w Tryeście, budowa okrętów od niepamiętnych czasów stanowi główne zajęcie mieszkańców. Miasto wzrasta z każdym rokiem. Zatoka Quarnero obfituje w ryby, które nietylko stanowią główne pożywienie miejscowej ludności, lecz, solone i konserwowane, są jednym z ważniejszych przedmiotów handlu wywozowego.

Miasto samo z Tryestem równać się nie może, gdyż jest właściwie miasteczkiem, choć jako

takie, zadziwia wielką liczbą pięknych, okazałych gmachów, otaczających duże place i tworzących szerokie ulice. Na Corso znajdują się sklepy bogate i bardzo ładnie urządzone. Środkowym punktem miasta jest plac Scoglietto i Fiumara, a najprzyjemniejszy spacer wzdłuż zatoki, aż do ujścia rzeczki Recina... Przez tę ostatnią prowadzi most wygodny, z kądem bardzo piękny widok na zatokę i stojące w niej okręta.

Fiume jest miastem wolnym, samo więc w swoim obwodzie stanowi granicę i tuż za mostem znajduje się celna komora. Ludność miejscowa chętnie trudni się przemysłnictwem i wynajduje przeróżne sposoby oszukiwania strażników. Głównym przedmiotem kontrabandy jest kawa i towary kolonialne, które tu kupić można bardzo tanio, a cło od nich jest dość wysokie. W naszej obecności schwymano jakąś wieśniaczkę, wracającą z miasta, która niosła w koszyku parę funtów kawy. Strażnik w sposób wcale nie ceremonialny wepchnął ją do sali rewizyjnej, gdzie skonfiskowano kontrabandę i wśród szyderstw i śmiechu wypuszczono winowajczynię. Poszła dalej, wdychając ciężko, zacierwioną z gniewu, lecz niewątpliwie pocieszając się w duszy nadzieją powodzenia w przyszłości.

(Dokończenie nastąpi).

Z DZIAŁU PRZYRODY.

Kronika najnowszych wynalazków i odkryć naukowych.

Wystawa elektryczna w Frankfurcie. — Skład celuloidy. — Aristol. — Babie lato. — Znowu tuberkulina.

Wystawa elektryczna we Frankfurcie nad Menem, po 5-cio miesięcznym istnieniu i zwiedzeniu jej przez przeszło milion osób, zostanie wkrótce zamkniętą.

Jakkolwiek pod względem bogactwa w nowe wynalazki nie dorównała ona swym poprzednikom, niemniej zebranie na jednym miejscu wszystkiego, co dotąd na tem polu zdziałano, wykazanie potęgi siły, jaką jest elektryczność i do jak różnorodnych celów może być zastosowana — przyniosło nauce rzeczywiste korzyści.

Wystawa oświetlona była 900 lampami lutowymi i 11.000 żarówkami, na przewodniki spotrzebowano około 80 ton miedzi, a 40 na liny metaliczne (cable); z tego łatwo nabrać pojęcia o rozmiarach urządzeń i o sile oświetlenia. Przekonano się dowodnie, że strumienie elektryczne o sile 15.000 i więcej wolt, są bezwarunkowo zuboższe i dla tego należy zarządzać wszelkie możliwe ostrożności aby nie nastąpiło zetknięcie z człowiekiem, co miewa niekiedy miejsce nawet przy dokładnym izolowaniu. Śmiertelny wypadek wydarzył się na wystawie. Przeciwnie zaś, pięć-miesięczne doświadczenie wykazało, że strumienie o natężeniu 2.000 wolt, przy należytem izolowaniu nie przedstawiają dla publiczności żadnego niebezpieczeństwa.

Obecna wystawa frankfurcka wykazała liczne udoskonalenia w telegrafach, telefonach, elektrochemii, w instrumentach i t. p. Pomijamy szczegółowe opisy jako zbyt specjalne, powiemy tylko, że około 40 miast niemieckich postanowiło zaprowadzić u siebie centralne stacje elektryczne. Wspomniawszy z obowiązku kronikarskiego o wystawie, powracamy do porządku dziennego.

*

*

Dobrze wszystkim są znane różnego rodzaju wyroby z celuloidy, jednakże dotąd nie znano jej

składu, trzymano go bowiem w tajemnicy. W jednym ostatnich numerów „Wszelchwiatu“ spotykamy się z wyjaśnieniem, które tu treściwie powtarzamy.

Wynalazcą celulojdy jest Hyatt, amerykańnik z Newark. Już na wystawie paryskiej w roku 1867 obudził powszechne zaniepokojenie preparat przedstawiony przez Parkesa, łączący z twardością rogu przezroczystość szkła i przytem nadzwyczaj wytrzymałość. W kilka lat później zaczął wyrabiać podobny materiał Hyatt i wprowadził go do handlu pod nazwą „celulojda“. Później dowiedziano się, że jestto mieszanina nitrocelulozy ze znaczną ilością kamfory. Nitroceluloza odkryta w roku 1846 przez Schönbeina i Bittchera jest produktem działania kwasu azotowego na drzewnik czyli celulozę, bawełna zaś strzelnicza czyli pyroxylina jest pewną jej odmianą.

Początkowo celulojda była bardzo drogą, a prócz tego uważano ją za materiał silnie wybuchający. Później jednakże przekonano się, że jest on wprawdzie bardzo palny, lecz wcale nie wybucha.

Celulojda tedy składa się wyłącznie z nitrocelulozy i kamfory, co do tego zaś czy jest to mieszanina mechaniczna, czy związek chemiczny zdania są podzielone. Za tym ostatnim przemawia sama trwałość celulojdy, przechowuje się bowiem ona bez zmiany przez długie lata, nie tracąc kamfory, a co, przy jej wysokiej lotności, musiałoby nastąpić, gdybyśmy mieli do czynienia z mieszaniną mechaniczną.

Z drugiej jednakże strony zmienny skład chemiczny celulojdy, pochodzącej z różnych fabryk, pozwala wątpić o związku chemicznym. Böchmann uważa ją za związek, podobny do skóry, w którym kamfora między włóknami nitrocelulozy jest osadzoną. Przytem, nawet najczystsza celulojda zawiera około jednego procentu popiołu. Nitrocelulozę do wyrobu celulojdy przygotowuje się z papieru, bawełny lub trocin, które wprowadza się po trochu do mieszaniny dwóch części kwasu siarczanego i jednej kwasu azotowego, o temperaturze nieprzechodzącej 22°. W cieczy takiej pozostają przez czas krótki, poczem po wydobyciu oplukuje się w wodzie bieżącej, osusza i następnie miesza z kamforą. Czysta nitroceluloza, po wydzieleniu się z roztworu, czyli tak zwana celoidina, przedstawia się jako masa twarda, rogowata; dodatek kamfory czyni ją w temperaturze podwyższonej ciągliwą i plastyczną. Celulojdy ogrzaną, a więc zmiękczoną, można wtlaczać w różne formy i w ten sposób nadawać jej żądane kształty; co do wytrzymałości i sprężystości przewyższa ona wszystkie podobne znane preparaty. Można ją wyrabiać przezroczystą lub nieprzezroczystą i nadawać rozmaite zabarwienia. W temperaturze zwykłej daje się z łatwością obrabiać: można ją krajać, heblować, piłować lub toczyć.

Co do zmieszania nitrocelulozy z kamforą to dokonywają go w rozmaity sposób. Pierwotnie skrapiano rozdrobnioną pyroxylinę silnie zgęszczonym roztworem kamfory w alkoholu, poczem masę tę ugniatano. Obecnie wilgoci się pyroxylinę wodą a następnie dodaje się niezbędną ilość sproszkowanej kamfory i ścisną się w prasach hydraulicznych. Ten ostatni sposób postępowania jest mniej niebezpiecznym. Otrzymane w ten sposób bryły kruszy się i w zamkniętych naczyniach wytrawia wyskokiem w ilości 15 do 35% ciężaru masy. Skutkiem tego staje się ona galaretowatą już po 24 godzinach, poczem wypada ją jeszcze ugnieść walcami z początku w temperaturze niskiej, następnie walec ogrzewa się do 60°. W ten sposób urabiając masę otrzymuje się zupełnie jednorodną, a jednocześnie ułatwiają się z niej wyskok i woda, dla ostatecznego zaś usunięcia pęcherzyków powietrznych poddaje się raz jeszcze ciśnieniu w ogrzanej prasie hydraulicznej. W celu zabarwienia celulojdy dodaje się barwników anilinowych podczas ugniatania.

W ten sposób otrzymuje się preparat, z którego wyrabiają grzebienie, osady do noży, zabawki dziecinne i t. p., a który posiada własność

łatwego spajania się, szwajcowania, z niektórymi metalami i z rogiem zwierzęcym.

*

*

*

I znowu dokonywają się próby ze środkiem przeciwko gruźlicy. Uskuteczniła je D-r Nadaud a preparat nazywa się *aristol*. Najsamprzód zastosował go przeciwko gruźlicy skóry, a osiągnąwszy pomyślne rezultaty, zaczął robić doświadczenia na chorych, dotkniętych gruźlicą płuc. Zaraz na wstępie nadmienić wypada, że środek D-ra Nadauda nie zawiera w sobie żadnych pierwiastków trujących a zastrzykuje się jako jednocentowy roztwór w oliwie.

Pierwszych prób z tym, nieprzedstawiającym niebezpieczeństwa środkiem, dokonano na siedemnastoletnim chłopcu, cierpiącym na gruźlicę zapalenie stawu biodrowego. Leczenie zasadało się na 25 zastrzykniach podskórnych *aristol*, do których wszystkiego użyto 0,25 grama, a skutkiem czego nadzwyczaj obfite ropienie ustąpiło. Zachęcony tak pomyślnym rezultatem, zastosował następnie Nadaud *aristol* w 23-ch przypadkach gruźlicy płuc. W siedmiu otrzymał niewątpliwe polepszenie; poprawa następowała tak szybko, że można przypuszczać wyleczenie, albowiem chorzy przez przeciąg czterech miesięcy czuli się znacznie lepiej. U pięciu pacjentów otrzymał w początkach również poprawę, lecz niedługo nastąpiło nowe pogorszenie, tak, że wypadało powtórzyć leczenie, po którym polepszenie było widoczne i trwałe. Sześciu chorych znajduje się w kuracji, a stan ich stopniowo się poprawia, u reszty chorych, z powodu różnych powikłań, wypadało kurację przerwać. Wyniki swych badań przedstawił D-r Nadaud Akademii medycznej w Paryżu.

Kiedy mowa o nowych odkryciach na polu medycyny wypada słów kilka powiedzieć o wstępnej prelekcji znakomitego wiedeńskiego chirurga profesora Alberta, który w ten sposób wyraził się o pracach naszego uczonego Prof. Adamkiewicza z Krakowa: „Professor Adamkiewicz, który utrzymuje, iż udało mu się wynaleźć środek przeciwko rakowi, postąpił bardzo właściwie, że studia swe dokonywa w klinice, gdzie kontrolowanie i sprawdzenie skuteczności jego środka jest o wiele łatwiejsze, aniżeli w laboratorium. Dotąd środek utrzymany jest w tajemnicy, podobnie jak to miało miejsce ze środkiem Kocha, który jakkolwiek nie wydał oczekiwanych i obiecanych rezultatów, mimo to stanowi ważny krok naprzód w lecznictwie. Ponieważ prace prof. Adamkiewicza datują jednocześnie z odkryciem Kochowskim, być zatem może, że i środek jest analogicznym pod względem kombinacji postępowania. Gdyby nawet i tym razem nie otrzymano zupełnie pomyślnego rezultatu, to w każdym razie odkrycie środka działającego swoiście (specyficznie) na raka byłoby rzeczą wielce pożądaną i ważną. Środkowi Kocha zarzucano, że wywiera na organizm poboczne, szkodliwe działanie; czy podobnie się rzecz ma ze środkiem odkrytym przez prof. Adamkiewicza, to dopiero przyszłość to jest dalsze doświadczenia wykażą“.

*

*

*

Mieliśmy, a nawet mamy jeszcze, niezwykle długie „babie lato“ tego roku; przyjrzyjmy się zatem na czem zasada się owo dobrze wszystkim znane zjawisko unoszenia się białej przedy w powietrzu.

Przy bliższym badaniu owej pajęczyny, można na niej niekiedy dostrzedz obecność małych pajęczków. Okoliczność ta skłoniła dwóch młodych francuzkich zoologów p. p. Rogeron i Godard-Fotrier do badań naukowych, skutkiem których przyszli do następujących rezultatów, ogłoszonych w „Revue des sciences naturelles“:

Utrzymują oni, że unosząca się w powietrzu biała przedza jest rodzajem aerostatu. Już dawniej twierdził Rogeron, że owe białe nici, wydzielane przez latających w powietrzu pajęków

unoszą się dla tego w powietrzu, iż są od niego lżejsze. Przeciwno temu mniemaniu zaprotestował inny uczone, Milne-Edwards, utrzymując, iż badania pajęczyny wykazały, że jest cięższą od powietrza a badania mikroskopowe nie wykazały w niej gazu, mogącego ją unosić w powietrze.

W celu udowodnienia swego twierdzenia przedsięwzięli Rogeron i Fotrier ponowne badania. Zbierali starannie pajęczynę unoszącą się w powietrzu, przenosili do pokoju, w którym nie było żadnych przewiewów, i tu przekonali się, że pajęczyna unosi się do góry, wykonywając przytem lekkie ruchy faliste, że ulata z szybkością około dziesięciu centymetrów na sekundę. Prócz tego nitki przedzone przez latających w powietrzu pajęków, wykazały odmienną budowę, aniżeli pajęczyna innych rodzajów, która jest owiele mocniejszą. Wśród niektórych nitki zauważyć można było pod mikroskopem puste przestrzenie, a więc wypełnione powietrzem, albo, być może, innym gazem.

Uczeni francuzcy poddawali następnie badaniu żywe pajęki i przekonali się, że wydzielają one z właściwych gruczołów cienkie nitki, które w miarę wydzielania się, unoszą się ku górze w kierunku prostopadłym i nareszcie pociągają za sobą pajęczkę, który wznosząc się podobny był do rozwijającej się szpulki. Podczas pięknego, ciepłego jesiennego dnia zjawisko to może być przez każdego obserwowane. Pajęczki unoszą się w powietrzu na długich nitkach, uchwyciwszy ją, owad polezie na rękę, gdzie porusza się niespokojnie, a rozejrzawszy się dokoła puszcza się w dalszą powietrzną podróż w następujący sposób: Przedewszystkiem podejmuje ku górze dolną część ciała a główkę spuszcza ku dołowi i w ten sposób unosi się na swych ośmiu nóżkach, następnie bystro wydziela z siebie nitkę która podczas jasnej pogody szybko unosi się ku górze.

W początku trzyma się pajęk nóżkami skóry bardzo mocno, a tylko tylną część ciała unosi coraz wyżej, jakby dla przekonania się: czy nitka jest dosyć silną aby go unieść w powietrze?—gdy to dojdzie do skutku, mały aeronauta puszcza się w swą powietrzną podróż. Gdy podczas wydzielania nitki przez pajęka, słońce zostanie zasłonięte, zaczyna ona opadać ku dołowi i wreszcie spada na ziemię. Czy nitka owa zawiera rzeczywiście w sobie jaki gaz lżejszy od powietrza, tego zoologowie francuzcy jeszcze nie wykazali.

*

*

*

W zakończeniu dzisiejszej kroniki wypada nadmienić, że prof. Koch, w ostatnim numerze „Deutsche medicinische Wochenschrift“ zabrał znowu głos w przedmiocie swej tuberkuliny. Wprawdzie badania Virchowa wykazały, że odkryty przez Kocha płyn, nietylko nie działa skutecznie przeciwko rozwijaniu się procesu gruźliczego w tkankach, lecz że jest wprost szkodliwym, większość jednakże lekarzy widziała w odkryciu tem znakomity postęp w lecznictwie i nie traciła nadziei, że przy odpowiednim udoskonaleniu metody, stanie się z czasem środkiem radykalnym.

Otóż prof. Koch bezustannie pracuje nad swoją tuberkuliną; nowe doświadczenia z płynem prawie absolutnie pozbawionym pierwiastku wywołującego objawy postronne, wydały podobno zarówno na zdrowych (lekarzach), jak i na chorych w szpitalu w Moabie, pomyślne rezultaty. Wypada przeto uzbroić się w nową dozę cierpliwości i oczekiwać pomyślniejszych wyników.

Dr. Józef Starkman.

Z bieżącej chwili.

— Na giełdzie petersburskiej otwarto składki na pomoc dla dotkniętych głodem okolic. Zebrano już przeszło 70.000 rs.

— Z inicjatywy petersburskiego Towarzystwa Lekarskiego ma być założona w Petersburgu lecznica dla osób dotkniętych alkoholizmem. Poruszoną została w tymże Towarzystwie myśl zwołania do Petersburga międzynarodowego kongresu heomopatów.

— Wystawa papieru ma być wkrótce urządzoną w Petersburgu i zarazem zwołany wiec fabrykantów tej gałęzi przemysłu.

— Wystawa rolnicza otwartą będzie w Warszawie w roku przyszłym. Skład komisji tworzą: hr. Czacki Feliks, I. Jeziorański, Ostrowski Józef, Chaniewski Stanisław, Gradenwic Władysław. W r. 1893 urządzoną zostanie wystawa przemysłowo-rolnicza Królestwa Polskiego. Program zostanie ogłoszony na rok pierwszej.

— Muzeum popierania przemysłu i rolnictwa ma być urządzone na nowych warunkach; jeden ze zmarłych kapitalistów zapisał na ten cel kilkadziesiąt tysięcy rubli.

— Malarz Buchbinder wykonał obraz do kościoła Wszystkich Świętych, przedstawiający Śtę Jadwigę, błogosławiącą Henryka Pobożnego na wyprawę lignicką; obraz, przeznaczony do ołtarza, jest 7 łokci wysoki i przeszło 4 łokcie szeroki, oprawiony będzie w ramę rzeźbioną w drzewie.

— Według obliczeń *Dziennika Warszawskiego*, liczba pielgrzymów do Częstochowy wynosiła osób: w Kwietniu 4.632, w Maju 34.470, w Czerwcu 8.560, w Lipcu 8.535, w Sierpniu 112.278, we Wrześniu 24.085, razem: 199.378, zatem blisko dwakroć sto tysięcy, mniej jednak o 182.852, więc niemal o połowę niż w roku przeszłym, co przypisywać trzeba nieurodzajom i słoć ubiegłego lata. W partyi pielgrzymów z Warszawy znajdowało się w d. 15 Sierpnia 4.000 osób, i złożono w darze dla kościoła Śtęj Barbary obraz: „Serce z Krzyżem“. Obok tego były pielgrzymki z Prus i z Austrii. Dnia 8 Września znajdowało się w Częstochowie 52.600 pielgrzymów.

— Warszawskie Tow. Dobroczynności utrzymywało w ciągu roku starców i kalek 361, sierot 256, do ochron uczęszczało 4.670 dzieci, w szwalniach znajdowało dziennie zajęcie 689 dziewcząt przeciętnie.

— Obserwatorium astronomiczne w Ogrodzie Botanicznym posiada 4.980 przedmiotów w wartości 50.948 rs., działalność jego polegała głównie w roku bieżącym na obserwacjach położenia gwiazd; pracował nad tem tak jak i lat poprzednich obserwator, p. Kowalczyk. Skutkiem niesprzyjających warunków pogody dokonano obserwacji tylko w ciągu 60 wieczorów. Obserwowano ogółem 1.009 gwiazd drobnych. W czasie od d. 5 Czerwca 1876 r. do końca 1890 r. dokonano 16.604 obserwacji nad drobnymi gwiazdami. Punktów widzialnych wyliczono 13.503.

— Gabinet zoologiczny przy uniwersytecie Warszawskim posiadał, według dorocznego sprawozdania, w roku ubiegłym 117.165 przedmiotów, wartości 108.464 rs. Przy gabinecie pracowali profesorowie i studenci, prowadząc specjalne stu-

dya i układając kolkékye; układano kolekcyje z historii naturalnej pszczoły i jedwabnika.

— Tygodnika *Wszczęwiat* wyszedł numer pięćsetny, co wobec małego zajęcia się publiczności naszej czasopismami z zakresu nauk przyrodniczych jest faktem pomyślnym. *Wszczęwiat* traktuje rzecz popularnie, powinienby zatem znaleźć szersze koło czytelników.

— Komitet *Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych* przyznał rzeźbiarzowi Wasilkowskiemu za jego kompozycją „Dyabeł Boruta“ zapomogę na wyjazd do Paryża dla dalszego kształcenia się w sztuce.

— W Paryżu zmarł sędziwy, bo 83 lat liczący, akwarelista, Teofil Kwiatkowski, niegdyś przyjaciół Szopena, którego portret malował w ostatnich już chwilach przedśmiertnych, leżącego na łóżku przy którym czuwa siostra, s. p. Jędrzejewiczowa, gdy w głębi pokoju hr. Potocka śpiewa *Ave Maria* Szuberta przy akkompaniamencie ks. Marceliny Czartoryskiej. Była to jedyna praca jego olejna. Istnieje obok tego portret Szopena jego pędzla wykonany farbami olejnymi, oraz obrazek, przedstawiający pomnik jego na paryskim cmentarzu Père Lachaise. Te dwie prace wykonał on do książki pamiątkowej, w której rodzina Szopena zebrała wszystko, co pisano w Paryżu o zgonie Mistrza. Kwiatkowski przesyłał utwory swoje i na wystawę naszą *Tow. Sztuk Pięknych*, ostatnią przesyłkę w r. 1873 był piękny krajobraz Burgundji.

— Kossuth dochodzi do lat dziewięćdziesięciu, starzec wyraził pragnienie spoczywania w grobie, mieszczącym zwłoki jego rodziców we wsi Dabases, otóż liczni przyjaciele sędziwego starca, zamierzają obchodzić uroczyste zbliżającą się rocznicę jego urodzin i uczcić go w tym dniu darem kupionej za grosz składki publicznej jego wsi rodzinnej, gdzie odpoczywałby na spanie wiekuiste.

— Wystawę czeską, zamkniętą w dniu 19-ym Października, zwiedziło w dniu tym ostatnim jej trwania 75.000 osób. Zamknięcie odbyło się bardzo uroczyste.

— W Krakowskim konserwatorium muzycznym jest zapisanych na rok bieżący 126 uczniów i uczennic.

— We Lwowie ogłoszonym będzie wkrótce konkurs na budowę teatru. Aż do chwili wzniesienia nowego gmachu stary teatr hr. Skarbka wydzierżawiany będzie przedsiębiorcy prywatnemu, potrzebną jest jednak ze względu na bezpieczeństwo publiczne jego przebudowa, której koszt oznaczono na 30.000 zł. Artyści tegoż teatru podali petycją do wydziału krajowego o ukrajowanie teatru i rozpisanie konkursu na budowę nowego, nie później, niż w miesiącu Kwietniu.

— Zamieszkujący we Lwowie malarz Styka, wyjechał do Stambułu w interesie sztuki. Siemiradzki obiecał przysłać na wystawę lwowską trzy obrazy swoje.

— Wiedeń obchodził bardzo uroczyste stuletnią rocznicę urodzin Koernera. Teatr cesarski dla uczczenia jubileuszu poety przedstawił jego tragedję „Zrini“.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się Arkusz 4-ty tomu II powieści pod tytułem: **Drogi życia**, przez D. K. Murray'a. Przekład z angielskiego.

Encyklopedia Ilustrowana MEDYCYNY i HYGIENY POPULARNEJ

D-ra Pawła Bonami

opracowana i do naszych stosunków zdrowotnych zastosowana

przez

Józefa Starkmana.

Zeszyt XXVIII-my wyszedł z druku i zawiera między innymi: **Uduszenie, ukąszenia, ułożenie ciała, umysłowe niedołęztwo, usta, utopienie, utrata przytomności. Wąglik, węgry, waselina, wątość, wątroba, wawrzyn, wędliny, wegeteryanizm, węgiel i t. p.**

Cena zeszytu kop. 30. Poczta 36. Najwygodniej z prowincji nadsyłać po rs. 2 na raz. Wszystkich zeszytów będzie 30. Dla płacących z góry za całe dzieło: rs. 8, pocztą rs. 9.50. Do odebrania i do nabycia u M. Orgelbranda na wprost pomnika Kopernika i we wszystkich znaczniejszych księgarniach.

TREŚĆ: Wykształcenie kobiety, przez M. I. — Przeklęty ród, przez Kazimierza Glińskiego (dalszy ciąg). — Ruch muzyczny, przez Juljusza Statllera. — Nowiny Paryzkie. — Przez Alpy (dalszy ciąg). — Z działy przyrody. Kronika najnowszych wynalazków i odkryć naukowych, przez Dr. Józefa Starkmana. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 4-ty tomu II powieści, pod tytułem: **Drogi życia**, przez D. K. Murray'a. Przełożona z angielskiego. — Przegląd mód. — 18 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie.** — **Dyspozycya stołu.**

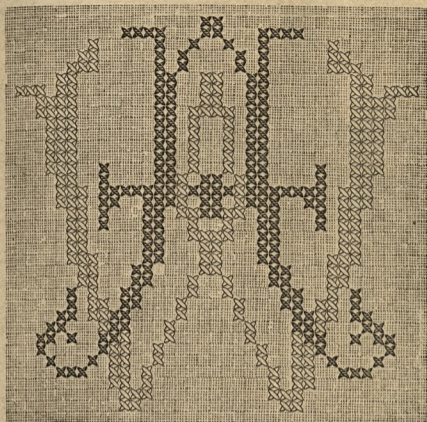
PRZEGLĄD MÓD.

Jaki fason sukni obrać. — Materiały w wielkim wyborze u pani Heurich. — Suknia cała za 12 rubli. — Specyalność angielskich fasonów u pani Anny.

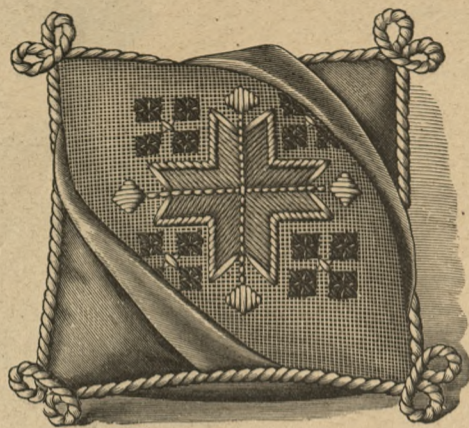
Tak długo nam sprzyja tegoroczna jesień, że mamy czas do rozmyślenia nad wybraniem materiału i fasonu sukni zimowej, naturalnie mówię tu w liczbie pojedynczej, bo minęły te czasy, kiedyśmy po kilka odrazu na zimowy sezon sprawiali, aby potem wisiały spokojnie w szafie, dziś nawet na wyprawę średniej zamożności oblubienicy nikt nie pomyśli o sprawieniu więcej jak czterech, rachując



Nr 2. Suknia dla panienki od 2—3 lat. (Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 57—62).



Nr 3. Monogram.



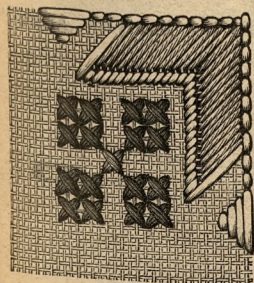
Nr 4. Poduszeczka do szpilek (do ryc. Nr 5). Ścieg płaski i krzyżowy.

w tej liczbie i s l u b n ą. Otóż dwa są rodzaje formy sukien: suknia z tak zwanych prostych brytów, która ma z przodu nieznaczną draperię lub przybrana w dole draperią czy też lambrekinem, chociaż ten rodzaj fasonu stosuje się tylko do lekkich materiałów tak wełnianych jak jedwabnych; grube i wogóle zimowe suknie robią się odrazu na podszewce, krając całą suknię w kliny, to jest ostatni wyraz mody i chociaż już pisałam o tem, powtarzam raz jeszcze, bo takie tylko suknie można podnosić za pomocą nowych haczyków, nie pasków sprowadzonych przez pana Herzego; jest to wielka wyгода, bo z pod takiej sukni nie wlecz się niezgrabna fałszywa spódnica z listwą i t. d., tylko widać do kostek sięgającą halkę. Chociaż wiele nowych materiałów przywiezionych przez panią Heurich, jako modne są w duży deseń, gzygzakami zwany, jednak wiemy to od lat wielu, że pani Heurich nie lubi ekscentryczności wybiera zawsze to co praktyczne a dystygowane, i umie każdemu dobrać, co mu do kieszeni, wieku i położenia pasuje. Radziemy jednak

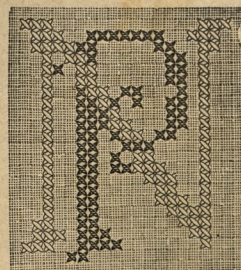


Nr 1. Suknia wieczorowa.

zastępując jeszcze modny astrachan. Były tam i himalaje w szerokim pasie z wystającym kolorowym włosem, wszystko to w różnych kolorach, a że materiał gruby, więc się spódnica kraje w ukos, jakby w kratę, a żakiet robi się z gładkiego tego samego materiału. Są i węższe pasy na angielskie suknie, których specyalnością jest magazyn pani Anny, róg Marszałkowskiej i Próznej. Mnóstwo czarnych rzeczy nam pokazywano w nowych zupełnie odmianach, ale nad wszystko polecić musimy materiał wełniany w pasy, paski, arabski lub płomyki 2 1/2 łokcia szeroki, powtarzam dwa i pół łokcia szeroki, po . . . niezgadnicie panie pewnie . . . po rs. 1 łokieć. Materiału takiego łokci 9 wystarcza na najobszerniejszą suknię z żakiem, podajemy wzory, i tyle fasonów, szycie dziś już prawie przeciętnie każda z nas umie, jeżeli niema innej specyalności, dającej jej chleb powszedni; więc dodawszy jakie 5 rs. co najwięcej na dodatki można mieć śliczną suknię za 15 rubli. No, wszakże, pomimo najcięższych czasów, żaden ojciec i mąż na taką cenę narzekać nie będzie! Śliczne dwa modele płaszczyków widzieliśmy u pani Anny: jeden formą paletotu a drugi prawdziwy płaszczyk szary, oba takim praktycznym fasonem, jak wszystko, co z tego magazynu wychodzi. Kto przyjeżdża na dni parę, może się odrazu ubrać w tym magazynie, gdzie oprócz gotowych sukien, które dopasowują



Nr 5. Czwarta część poduszeczki do Nr 4.



Nr 6. Monogram.



Nr 7. Płaszcz „Margaret.” Nr 8. Płaszcz dla młodej osoby. Nr 9. Płaszcz „Nadège.” Nr 10. Płaszcz „Theodore.” Nr 11. Mantylka „Amiral.” Płaszcz „Agnès.” Nr 13. Żakiet „Maud.” Nr 14. Kafanik dla młodej pani. Nr 15. Mantylka „Aléxandra.” Nr 16. Płaszcz „Duchesse.”

M O D Y P R Y Z K I E.

Rycina Nr 17 na stronicy dzisiejszego numeru zyczu przedstawia drugą stronę ubrań tu podanych.

w ciągu doby i okrycia, można sobie wybrać i gotowy kapelusz.

L. C.

Suknia wieczorowa.

Rycina Nr 1.

Suknia wieczorowa wykonana z atlasu „duchesse“ koloru białego krojem „princesse“, ozdobiona haftem, wykonanym białym jedwabiem i złotą nitką, koronką żółtawego koloru, oraz ciemno-ponsowymi różami. Napierśnik z atlasu, pokryty gazą jedwabną fałdowaną. Tren powłóczysty skrajany kwadratowo, zaopatrzone tkani-

ną włosianą. Rękawy z adamaszku odpowiedniego koloru. Poniżej wcięcia otoczenie z kwiatów i także naokoło szyi.

Plaszczyk dla młodej osoby.

Rycina Nr 8.

Plaszczyk z sukienką w paski koloru łosiowej skóry i crème. Pelerynka bardzo wysoko wzniesiona na ramionach tworzy w tylnej części rękawy. Kapturek podszyty materyą lub aksamitem koloru łosiowej skóry ciemniejszym nieco od pasków. Także sam kołnierzyk. Pasek z materyału. Kapelusz z filcu koloru łosiowej skóry, przybrany

kokardami ze wstążki tegoż koloru, podszytej aksamitem ciemniejszym.

Plaszcz „Nadège.“

Rycina Nr 9.

Plaszcz z materyału jedwabnego „gros grain“ koloru popielatego, czarnego lub śliwkowego „broché.“ Plecy są wcinane i tworzą dwie głębokie fałdy płasko ułożone. Rękawy wysoko wzniesione na ramionach, długości plaszczka, tworzą pelerynę w przedniej części. Kołnier Medécis, oraz karczek z aksamitu koloru odpowiedniego do materyału. Karczek otoczony plisowaniem z „gros grain“ gładkiego oraz pasmanteryą. Kołnier, przednie części, dół i naramienniki otoczone kastorem lub szen-szylłą. Kapelusz z filcu srebrno-popielatego ozdobiony piórami i wstążkami tegoż koloru, podszyty aksamitem.

Obiad na Niedziele.

1. Czarnina z kaczek na rosole.
2. Potrawa z kaczek z perłową kaszą.
3. Pieczeń barania „à la sarna.“
4. Ciasto „provence.“

Opis rycin 10 — 16 w przyszłym numerze Bluszczu.

UWAGA.

Tablica krojów dołączona do Nr 42 i 43 Bluszczu służy też do N-ru dzisiejszego.



Nr 17. Dopełnienie rycin Nr 7 — 16.



Nr 18. Frendzla pasmanteryjna do ozdoby kominka, kosza do papierów i t p. (robota szydełkowa).